

Wychodzi w każdą Sobotę.
Cena prenumeracyjna
w całej Austrii:
rocznie 8 złr. — półrocznie
4 złr. — kwartalnie 2 złr.
w Niemczech:
rocznie 5 tal. — półrocznie
2 tal. 15 sgr. — kwartalnie
1 tal. 8 sgr.
we Francji:
rocznie 21 fr. — półrocznie
11 fr. — kwartalnie 6 fr.
Numer pojedynczy 20 ct.
Redakcja: Ulica
wałowa Nr. 19.

ŚWIT

Główne agencje: we
Lwowie księgarnia J. K.
Wilda, w Krakowie
księgarnia J. Wilda, w
Poznaniu księgarnia J. K.
Zupańskiego.
Rekopy nie przyjęte
do druku zwracają się w ra-
zie zażądania.
Szanownych autorów
i nakładców, życzących so-
bie znaleźć w „Świcie”
wzmiankę lub rozbiór kry-
tyczny swych dzieł pro-
simy o nadsełanie Redak-
cji egzemplarzy takowych

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Treść: O satyrykach polskich XVII wieku, studium literackie przez Dr. Adama Belcikowskiego. (C. d.) — W krainie sztuki, prolog alegoryczny, przez Bronisława Zawadzkiego. — Kalejdoskop, obrazy czasów i ludzi, przez Berlicza Sasa. (C. d.) — Głębia morza i głębia powietrza, przez dr. Tomasza Staneckiego. (C. d.) — Meczennicy fantazyi, nowella z niemieckiego Ludwika Foglara. (C. d.) — Przegląd literatury dramatycznej, przez Bronisława Zawadzkiego. (Dok.) — Kronika artystyczna wiedeńska, przez Nino. (Dok.) — Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

O satyrykach polskich XVII wieku,

studium literackie

przez
Dr. Adama Belcikowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Z tych to powodów osobistość autora Satyr od czasu ich pojawienia się, była dziwnem zjawiskiem w naszej literaturze. Nie wiedziano, jakie wyrzec o niej ostateczne słowo, czyli potępić tę bezwarunkową surowość i nieuzasadnioną wyrażnie przesadę, czy też uznać zasługę męża, który z nieugiętością Katona ośmielił się rzucić swym ziomkom nagą prawdę przed oczy. Zostawiono ją więc niewytłomaczoną i w półcieniu — jakby zostawiając do wyboru, czyli kto woli widzieć rzucone na nią ciemność czy światło. Kochowski napisał o nim w Klimakterach, mówiąc o jego śmierci: „Opaliński znakomity nauką, wymową, powagą senatorską, odznaczał się w sprawach publicznych. Od Władysława IV. wysłany w poselstwie do Francji po królową Ludwikę, przyczynił zaszczytu swemu narodowi a sobie sławy, lecz sądząc, że nie został w miarę zasługi nagrodzony, wziął z tego pochop do skrytej nienawiści. Po publicznych zajęciach oddawał się literaturze... i sam wydał książkę pod tytułem: „Przestrogi,” która w ojczystym języku napisana, rzymskim oddycha wdziękiem i dowcipem. Szkodliwem było dla sławy tego znakomitego męża, że pod koniec życia w wojenne zadał się trud, gdyż jego mienia sprawca przyjęcia protekcji szwedzkiej.”

Lagodniejszy jeszcze sąd o jego charakterze i roli politycznej wydał Rudawski. „Był to mąż wysokiego umysłu... Bardzo wielu ganiło mu wielkie rozumienie o sobie, ale mało to skaza w mężu senatorskiej godności.” Potocki Paweł (w *Centuria virorum illustrium*) chwali jego „rzadką uczoność i nieporównaną a wdzięczną godność formy.” Krytyk Braun na początku XVIII wieku (1723) pierwszy powstał przeciw przesadnej pochwałce zalet poetycznych w Satyrach. „Co do poetycznej wartości, powiada, za wiele mu przypisuje Kochowski, nie ma bowiem wdzięku (*venustas*) albo bardzo rzadki w tych wierszach, a sztuka poetyczna prawie żadna, zwłaszcza w porównaniu z Kochanowskim, Twardowskim i innymi

znakomitymi poetami polskimi. Rzeczy prawdziwe wydał on w pospolitych wierszach i błędy Polaków w rządzie, w religii, na wojnie, w wychowaniu, w zbytku, życiu i obyczajach, tak duchowieństwa jak szlachtę, mieszczan i chłopków otwarcie karci i sędzi, naśladując Juwenala i Perzysza. Oby ludzie (dodaje na pochwałę Opalińskiego), gdy nie chcą się kajać Boga surowymi napomnieniami, zechcieli smagani podobnego rodzaju sarkastycznymi pismami, zrozumieć i uprzedzić groźące im niebezpieczeństwo. Zresztą moralnego człowieka książka ta zabawi, występne sprawiedliwie skarci.”

Takie zdania o autorze Satyr wychodziły na widok publiczny ze strony ludzi jemu współczesnych lub najbliższych czasem. One to już postawiły tę postać w dwóznacznym półcieniu — obok pochwały zdolności i wysokiego umysłu, kazały się domyslać pewnej skazytelności w charakterze. Ale surowsze były te, które prywatnie z rąk do rąk, w rękopisach rozchodziły się po kraju, nie mając odwagi ukazać się na światło dzienne, ale i przedmiot swego potępienia wciągając ze sobą w ciemność. Na autografie Satyr Opalińskiego współczesna może jemu ręka umieścić napis łaciński, podany naprzód przez Załuskiego do wiadomości powszechnej: „Autorem tej książki jest C. O. P. P. ten sam, który był szczególnym doradcą i sprawcą poddania Wielkiej Polski Karolowi Gustawowi, zkaż takim ktoś skarcić go epigramatem:

Opaliński! występki któremi tchmiesz cały
Zarzucasz innym, a sam pełen jesteś zbrodni.
Prawdziwie czy zmyślane zarzucasz im błędy,
Wiedz to, że są źli ludzie, aleś ty najgorszy.
Niesłuszność, niepobożność i zgwałcona wiara,
To jest w tym, to jest w owym, a w tobie zaś wszystko.
Tyś Szwedowi królestwo, króla, wszystkie prawa
Zaprzedał — wstydyż się więc i żałuj na wieki.”

W podobnym duchu odzywał się także wiersz p. t. „Orzeł do Wielkopolanów na przyjazd króla szwedzkiego do Gniezna“ i inny znajdujący się w rękopisie w Bibliotece Ossolińskich p. t. „Na Satyrę pisane w r. 1650, respons Pana Marcina Nieborowskiego, Podkomorzego Sochaczewskiego 1658“ — gdzie mówi do Satyra:

A ty jakobyś nie w Polsce schowany,
Ześ nic Polskiego widzę nie ulubił,
I owszem ostrem piórem jej zwyczaję
Zcenzurowałeś i podałeś światu,
I tej cnej matce, która cię zrodziła,
I tak wysoką uczciła godnością
Należytego odjąłeś honoru,
Formując dyskurs do swego humoru,
Po którym cię znać, nie dzikiego męża.
Znać dobrze, żeś się schował między ludźmi,
Obce narody ciekawie zwiedziwszy,
Cudzoziemskich się napiłeś humorów
I staropolską zmieniwszy naturę,
Przystroiłeś się całe w cudzą skórę.
Przeto do ładu nie ci nie przypało,
Cokolwiek w naszej Polsce się znajduje,
A satyryckie byś napełnił karty,
Wszystkoś upatrzył, wszystkoś ponotował...
A byżoby też co pisać o tobie,
Byś nie spoczywał pod zimnym kamieniem...

Co dalej następuje, jest wyliczeniem politycznych grzechów Opalińskiego.

Podobnie sprzeczne sądy przeszłości: z jednej strony znakomite imię pozostawione na kartach naszych historyków, a z drugiej obrzucone hańbą przez głos opinii, obudzały zawsze ciekawość poznania tej dwulicowej osobistości, a zarazem i chęć ocenienia, o ile możemy zawierzyć słowom Satyr i z charakteru poznać prawdę albo fałsz jego obrazów. Najwięcej dotąd zajął się tą sprawą zasłużony nasz historyk Szajnocha, poświęciwszy Opalińskiemu osobne studium. Rezultat jego badań wypadł bardzo niekorzystnie dla autora Satyr. Oprócz poddania Wielkopolski Karolowi Gustawowi, które już przez dawniejszych historyków wspomniane dotąd głównie na pamięci Opalińskiego ciążyło, przypisał Szajnocha jemu także poduszczanie do rokoszu Beresteckiego, w skutek którego odniesione świeżo nad Kozakami zwycięstwo żadnej korzyści nie przyniosło i wykazał jego ciągłą opozycję przeciw królom, wynikłą jedynie z pobudek osobistej urazy i dumy.

Biorąc zatem Satyrę do ręki trzeba mieć w pamięci charakter i usposobienie ich autora — to nas nauczy, jakim okiem na jego dzieło patrzeć się mamy. Opaliński wziął się do pisania w czasie, kiedy popadł w niełaskę u Dworu, a raczej kiedy zawiedziony w uroszczeniach, z dumą i zawiścią go porzucił. Był to zarazem czas wielkich nieszczęść krajowych (początek panowania J. Kazimierza), czas zamieszek, nieładu i rozstrojenia umysłów. Wolny od zatrudnień publicznych, a posiadający z natury czynnego ducha, postanowił zużytkować jego siły na innem polu i wzięwszy pióro do ręki rozmyślał, co ma pisać: historię czy rymy? sielanki czy pieśni?... Ale widok stanu Rpltej, powszechnie panujące złe obyczaje, jak o tem powiada w Przedmowie, a my możemy dodać, że i nastrój własnego ducha, zaczęły mu kreślić przed oczami obrazy zasługujące na chłostę — i w ten sposób powstały Satyry.

Nie można przeczyć, żeby w nich nie było wiele prawdy. To co Opaliński powiedział, potwierdza w znacznej części historia i niejednen z ówczesnych poetów, jak Twardowski, Wacław Potocki, Kochowski, których

nie można posadzić o złośliwą zawziętość i nieprzyjazne uczucie dla swych ziomków. Wyrazy ich są nieraz równie gorzkie, a oburzenie graniczy prawie z rozpaczliwym potępieniem. Ale posiadają oni przy tem to, czego brak zupełnie w Opalińskim: czuć się daje, a mianowicie łagodzą oni ostrość swych wyrzutów współczuciem i żalem spoczywającym na dnie ich serca. Tego właśnie nie dostaje Opalińskiemu. Jest to niby nieublagany sędzia, który wyzuwszy się z ludzkich uczuć i trzymając się tylko całej surowości litery prawa, wydaje bez litości wyroki na potępionych z zupełnem przeświadczeniem, że winnych tylko zasłużony los spotyka. Zdaje się, jakoby Opaliński pisząc Satyrę zerwał wszystkie nici sympatii łączące go z narodem i krajem. I rzeczywiście, obrażona duma odziałła jego piersi w taki stalowy pancerz. Czuł on w sobie, może być że i całkiem słusznie, siły i zdolności do przewodniczenia braci szlachcie i do wodzenia reju na polu dyplomacji i polityki. Z natury, choć może i z obrachowania, był on trybunem szlacheckim, gardlującym za całością swobod swego stanu w obec królewskości. Pomimo jednak tego nieprzyjaznego stanowiska, jakie zabrał względem tronu, pragnął również, ażeby dwór królewski starał się o zjednanie go sobie i sam przyciągnął go do siebie, aby tym sposobem stanął w pośrodku między tronem i najbliższymi jego doradcami a między szlachtą jako rozjemcą narodowy, trzymający w swym ręku tożę pokoju lub wojny między spierającymi się stanami.

Od obu jednak stron doczekał się zawodu. Szlachtę odstręczyła od niego wielka ambicja magnata, a dwór i króla dumna postawa trybuna. Dlatego to uderza Opaliński w Satyrach obosiecznym mieczem, wyrzucając stanowi rycerskiemu nieposłuszeństwo i nieuszanowanie królów i wystawiając tych ostatnich jako męczenników szlachty, a z drugiej strony obwinia monarchę o kierowanie się cudzoziemczyzną i zagraniczną, wstępną dla uczucia polskiej polityką.

Powtarzamy, trudno zaprzeczyć, że Opaliński wypowiedział bardzo wiele gorzkiej prawdy, ale ponieważ jej nie złagodził ani powabem sztuki ani ludzkością duszy, satyry jego raziły zawsze i razią zbyt ostrymi rysami i nad miarę ciemnym kolorytem, który autor nieraz z demoniczną jakąś złośliwością na swych obrazach rozpościera.

Oprócz uprzedzenia do swego narodu, pochodzącego z pewnej urazy i zawiedzionej w nadziejach dumy, był może jeszcze drugi powód, dla czego Opaliński swych ziomków w ten sposób potępił. Domyślamy go się ze słów przytoczonego wyżej wiersza Nieborowskiego, który jako współczesny autorowi mógł znać jego charakter i zapatrywanie się na rzeczy. Otóż Nieborowski wyrzuca mu to szczególnie, że rozmiłowywał się w obczyźnie, utracił zmysł do należytego i sprawiedliwego pojmowania stosunków rodzinnego kraju. Podobne sfałszowanie sobie wzroku przez zapatrzenie się dłuższe w jakiś przedmiot, jest nie tylko prawem fizyologicznem ale i psychologicznem. Mamy nawet jedną Satyrę Opalińskiego, w której mówiąc o zarozumiałych nieukach i niedowarzonych erudytach w Polsce, stawia naprzeciw temu, i bardzo słusznie, stan naukowości zagranicą, gdzie niezadawalniają się pozornym blichtrzem, ale nauki gruntownie uprawiają i wiedzę z pierwszego źródła biorą. Wiemy nadto, że Opaliński kształcił się i podróżował zagranicą, że tam miał związki i znajomości z wielu naszymi ludźmi — możemy zatem wierzyć temu twierdzeniu, że Opaliński pod pewnym względem kierował się pojęciami zagranicznymi, że było wiele rzeczy w Polsce, na które patrzył niechętnem lub lekceważącym okiem.

(C. d. n.)

W KRAINIE SZTUKI,

prolog alegoryczny

przez

BRONISŁAWA ZAWADZKIEGO. *)

OSOBY:

TRAGEDYA. KAPŁANKA.
KOMEDYA. PIERWSZY } uczniowie sztuki.
MUZYKA. DRUGI }
GENIUSZ HISTORII. CHÓR uczniów płci obojej.

Scena: w ogrodzie Muz.

Teatr przedstawia ogród napełniony kwiatami i dziełami sztuki. Posagi, kolumny wiązane arkadami, około których wije się laur; roślinność południowej Grecji: cytryny, pomarańcze, drzewa oliwne i palmy. W głębi świątynia w stylu greckim, otoczona jońską kolumnadą; na frontonie jej symbole sztuki. Na proscenium po obu bokach wznoszą się posagi Szekspira i Moliera.

INTRODUKCJA.

Uczniowie sztuki płci obojej w strojach greckich.

SPIEW.

CHÓR: U świętych progów sztuki
Teskną stoiny drużyna,
Pragniemy światła, nauki
I natchnień, co z góry płyna.
Kapłanko! otwórz nam
Podwoje świętych bram,
Błagamy Cię spragnieni
My, sztuce poświęceni.

(Powyższe słowa stanowią temat dla dowolnej kompozycji muzycznej i powinny uleże rozłożeniu na głosy i recitativa.)

Scena pierwsza.

Muzyka zmienia melodyę i wyraża zbliżanie się powrotnego zjawiska. W grupie uczniów trwoga i zachwycenie.

SPIEW.

UCZEŃ PIERWSZY: Lecz któż to zbliża się
Zwinięty w srebrnej mgie,
Zapachem tohnący róż,
A w oku pełen burz,
Wyniosły jego chód?

CHÓR: To cud! to cud! to cud!

(Słowa chóru są znowu tematem dla obszerniejszej kompozycji muzycznej.)

DRAMAT.

W obłoku płynie postać alegoryczna: „Tragedya” w kostiumie Muzy greckiej przy towarzyszeniu muzyki i zatrzymuje się nad grupą.

TRAGEDYA: Jestem tragedya! pania w tym gaju,
Gdzie tryska źródło piękności,
A wy z ziemskiego przybysze kraju
Niesiecie jakie nowości?
Czy chcecie rzucić w poezji rolę
Ludzkiego grzechu nasienie,
Lub też w szlachetnym ducha mozołe
Przezyste zdobyć natchnienie?

UCZEŃ DRUGI: My Tobie służyć pragniemy szczerze,
Patrz, święty zapal nas wieńczy!
Niesiemy sztuce w chętniej ofierze
Cały nasz ogień młodzieńczy!
Lecz Ty nam odśłoń świat ideału
I twórczość posiej nam w duszy,
Błagamy Ciebie mowa nieśmiała,
Aż siłę tajemnie skruszy,
W których odwiecznej mgie otulone
Pojęcie Twoich prawideł,

Więc tajemniczą odchyl zasłone
I chęciom naszym daj skrzydeł!

TRAGEDYA: Młoda drużyno wybrańców sztuki,
Gdy iskry Boże masz w łonie,
To ja ci Boże wskażę nauki,
Treść mego bytu odsłonię.
Ku ideału dążąc wyżynom
Miej duszę nieskazitelną,
Bo tylko wtedy natchnienia płyną
Krynica ztąd nieśmiertelna,
Gdyście na sercu biali i czysci
Harmonię sztuki pojęli
I z czoł zmazali piętno zawiści,
Która stworzony świat dzieli.
Nie wolno wnosić pod me sklepienia
Myśli zmaconej żądzami,
Ani pożyczać sztuki promienia
Dla grzechu, co duszę plami.
Bądźcie skłonnymi do pięknych wzruszeń,
Rzucajcie kłatwę na zbrodnie,
By ustrzedz ludzkosc od złych pokuszeń,
Trzymajcie cnoty pochodnie.
Wielka cześć będzie waszym udziałem
O moi młodzi artyści!
Jeżeli każdy swem życiem całym
Ten urząd kapłański ziści.
Ja w świecie sztuki dosięgam głowa
Szczytów najwyższej piękności,
A moich kształtów wieczna osnowa
Człowieka są namietności.
Jego natury cichą treść badam,
Serca mu jestem zwierciadłem
I aureole męczeńska składam
Herosom w boju przepadłym.
Kreślę duchowych wałk tajemnice
I tryumf Bożej idei,
Dlatego gromem płoną me lice
A z czoła mi burza wieje.
Przez mgłę stuleci patrzę ze drzeniem
Na boleść ludzkich mozołi
I łagodzącem sztuki wejrzeniem
Przewiewam tłumy pokoleń.
Patrzałam okiem starca Eschyla
Na pierwszy dzień początek
I jak się z baśni prawda wychyla
Poezyi snułam z niej watek.
W napomitycznych Grecji powieściach
Ducha szukałam podziwów,
W Prometeusza skalnych bolesciach
Słuchałam ludzkości jęków.
Malując smętne Edypa dzieje
Przeklęta losu ironie,
A znowu miłości kreśląc koleje
Spiewałam o Antygone.
Potem z węzłowia mego tronu
Milczałam długo uspiona,
Aż się ocknęłam z wieszczem Albionu
Poteżna i odrodzona.
Szekspir wszechwładnym pojał mi duchem
I prądy ludzkości zmierzył,
Wsluchał się w dzieje genialnym słuchem,
Piorunem w zbrodnie uderzył.
Pod jego rylca śmiałem dotknięciem
Wstawali ludzie z nieości,
A on w nich wkładał sztuki zaklęciem
Ideje i namietności.
Wszystko, co było w jego natchnieniu
Wabiło wdziękiem natury,
Nawet przy prawdy ciepłym promieniu
Łagodniał Hamlet ponury.

*) Ogłaszamy drukiem ten prolog w przededniu otwarcia nowego teatru, jakkolwiek napisanym był w r. z. na inny cel, ale chwila dzisiejsza ma wiele podobieństwa do owej i te same w duszy wywołuje myśli. (Przyp. aut.)

Dziś znów po długiej, bezwładnej ciszy
W słowiańskiej chęć odżyć mówię,
A kto wezwanie moje posłyszysz,
Laur mu położe na głowie.
W Polsce ja śledzę wieszczów przyszłości
I młodych artystów szukam,
Coby tragedii wzniosłe piękności
Zmysłową oddali sztuką.
Chcę, aby słowa moje padały
Jak rosa na kwiat uwiedły
I by się każdej duszy zbolałej
Różane wianki z nich przędły.
Dla takich celów, o plemię młode
Ku mojej służbie cię wzywam,
Na skroń twą zlewam Kastelską wodę
A sama w mgłę się rozplywam.

SPIEW.

CHÓR: U Twych ołtarzów czoło skłaniamy,
Na wierną służbę ci przysiegamy
Nasza królowo!

Wszyscy pochylają czoła — „Tragedya“ przesyłając im ręką
pożegnanie odpyływa. Muzyka wyraża oddalenie się powietrznego
zjawiska, poczem przechodzi w tempo wesela i tryumfu.

CHÓR: Uderzmy w hymn wesela,
Bo wysłuchano nas
bis } Kto tryumf nasz podziela,
Niech śpiew zanuci wraz!
O! jakież szła wesela
Przejmuje dzisiaj nas
bis } Kto tryumf nasz podziela,
Niech śpiew zanuci wraz!

(Dok. n.)

KALEJDOSKOP

obrazy czasów i ludzi

przez

BERLICZA SASA.

(Ciąg dalszy.)

Rozmowa z cząstkowej stała się wkrótce ogólną. Z prostego dyalogu o codziennych komunalach, przeszła nieznacznie do narracji anegdotycznej i legendarnej. Konzul Tom opowiedział straszną jakąś historię o wampirach wysnutą z ludowych przesądów Mołdawii. De Ribas naszkicował lekką winietkę romantycznych przygód, niepomnę czyich. Langeron wygłosił zabawną jakąś powiasteczkę z epoki amerykańskiej wojny o niepodległość. Przyszła kolej na komendanta portu Silvo. Była już o nim wzmianka w poprzednich rozdziałach *Kalejdoskopu* i jeżeli łaskawy czytelnik raczy sobie przypomnieć, rozwiódłem się dość obszernie o wyłącznej naturze tego ze wszech miar znakomitego człowieka. Lubiono powszechnie narrację jego dla wybitnej oryginalności, jaką się odznaczała. Lubiono i jego samego, bo niepodobna być przyjemniejszym od niego. Damy, których był ulubieńcem, napadały nań, żeby coś opowiedział. Księżna Sutzko, pani Korsy i pani Turkułłowa chciały koniecznie, żeby treścią opowiadania były własne jego przygody, których nie mało musiał doświadczyć na lądzie i morzu.

— Trudnej rzeczy wymagacie po mnie panie! — rzekł z uśmiechem zacny staruszek.

— Dla czego trudnej? — zapytały damy.

— Bo albo coś powiem dobrego o sobie, albo coś złego. W pierwszym razie pomyślicie żem samochwał, w drugim żem głupi lub ladaco.

— Nie dopuszczamy nic złego w przeszłości takiego człowieka, za jakiego cię mamy, kochany pułkowniku.

— Dzięki składam paniom moim za dobrą opinię. Bywały jednak chwile w życiu mojem, w których nie byłem jej godnym.

— O co to, to nieprawda! — zawołały damy jednogłośnie.

— Prawda, niestety! kochane panie! Istotna prawda! I cóż w tem dziwnego? Wszak niema takiego człowieka, coby się mógł pochwalić, że nigdy nie pobił dził rozumem, lub nie zgryzeli sercem. Nic życia nie zawsze biała. Często ją pył drożnych porywów opruszy i splami. I być nie może inaczej. Wszyscyśmy bowiem, jak słusznie powiedział Bajron, dziećmi błędu i śmierci, których nadzieje spoczęły na trzinach. *) Ponieważ

każecie opowiem, jak umiem, co mi się w młodości wydarzyło, ale dla większej jasności zacznę *ab ovo*, to jest od pierwszego głupstwa, jakie popełniłem, co ma znaczyć: od mego urodzenia. Rodzice moi mieszkali w Grenadzie. Ojciec był nauczycielem parafialnej szkółki, za co odbierał dostateczną pensję, żeby mieć rok cały adwent i suchedni w swoim domu. Za to otrzymał od władz miejskich koncesję nieograniczonego przywileju skrócić sobie kark choćby dziesięć razy na dzień, zstępując codziennie z wyżyn trzeciego piętra na ulicę przez okno, za pomocą wstęgi i pozbawionej kilku szczebli drabiny, bo schody leżały od dawna w gruzach, a miasto nie myślało nawet o restauracji onych. Cichy i pełen rezygnacji Don Alonzo, mój ojciec, zamiast podnieść głos w obronie publicznego porządku, a tem samem i własnego bezpieczeństwa, wołał milczeć i znękanie pracą siły do mozołnych eksperyencji gimnastycznych przymuszać. Lecz matka moja, Donna Elvira, córka maurytańskiego rodu, pałająca ogniem krwi rycerskiej *abencerrazów* i *zegrych*, nie podzielała wcale pobłażliwej rezygnacji męża. „*Caramba!*“ — wykrzykiwała bywało w porywie oburzenia — „tyś gorszy od baby, Alonzo, że tak pozwalasz grać sobie po nosie. Gdybym chodziła nie w swojej skórce a w twojej i miała jak ty honor nosić tytuł magistra salamankskiej wszechniei, dawno bym sobie dała radę i nie raczkowałabym po twojemu od lat pięciu po drabinie dla tego tylko, że się podobało panom radnym być gnuśnymi pasibrzuchami i nie dbać o nic! Co to my sowy, czy puszczyki, żeby siedzieć w tej starej ruinie, co jeszcze króla Boabdila pamięta i grozi co chwila runąć na głowy nasze?...“

Na ten wybuch żoninego oburzenia ojciec mój zwykł zawsze odpowiadać spokojnie następną filozoficzną formułą:

— Cóż pocniemy Donna Elviro? *Mundus est perpetua ruinarum ruina* *)—jak się wyraził uczony Isidorus Pelusiotus. Taka rzeczy kolej!

Te słowa flegmatycznie skandowane podwajały jeszcze, ma się rozumieć, impet matki mojej, patrzącej na życie pozytywnie, jasno i zdrowo nie zaś według jałowych sentencji i aksjomów.

— *O! rabia!*—wołała podboczywszy się sposobem etruskiej amfory — kiedym nazwała ciebie babą, nadto

*) *Poor child of Doubt and Death, whose hope is built on reeds.*

*) Świat jest wieczną ruiną ruin.

ci pochlebiał! Gdzie tobie do baby! Tyś dziwak — źle mówię! — tyś niedoługa — źle mówię! — tyś tyran okrutny — żony, twojej i dzieci! Wzleś jak mól w szpargały i książki i zapominałeś o całym świecie! Czy żona chora? mniejsza! Pękły ściany i zawaliły się schody — tobie to wszystko jedno! Naplotłeś mi o jakiejś Perpetui, o jakimś Mundusie i myślisz, żeś cudu dokazał. A ja ci powiadam, że tak dłużej być nie może! że ja dalej nie wytrzymam! Zabiorę dzieci i wyjadę do Sewilli. Osiędę przy ojcu — a ty siedź sobie w tej dziurze ze swoimi najukochańszymi szpargałami i czołgaj się po drabinie, czy skacz po niej ile ci się podoba!

— Nie gniewaj się tak mocno donna Elviro! — odpowiadał spokojnie ojciec — możesz zaszkodzić swemu zdrowiu. Gdyby nie te szpargały moje, którym tak sro-
dze złorzeczyłaś, nie mielibyśmy nawet i tego co mamy — bo jakby nie było, a jednak zawsze kapnie z mojej pracy jakiś maravedi na chleb i mleko, ba nawet i na sukienkę dla ciebie. Nie trać tylko otuchy, kochana żono. Nie zawsze nam będzie źle na świecie. *Post tenebras spero lucem!* Obaczysz jak poweselejesz.

Caramba! dałby to pan Bóg! — przerywała matka, udobruchana i rozbrojona zupełnie. — Polegam na twojem słowie, mój Alonzo, bo wiem, żeś uczciwy i twoją Elvirę kochasz.

I serdecznym pocałunkiem równie tkliwie oddanym jak i przyjętym, kończył się zatarg chwilowy na korzyść dobrej harmonii małżeńskiej.

Niezgodność charakteru moich rodziców, rażna i jaskrawa, miała jednak nie jeden punkt zetknięcia z sobą, niejedną spójnię moralną, niczem nie dającą się nadwereżyć. Dla dona Alonzo i dla donny Elviry życie miało cel poważny, obowiązujący, opatrnościowy — cel dający się tylko dościsnąć kosztem ofiary na drogach zacnych, legalnych, od Boga błogosławionych. Te dwa serca, na pozór sprzeczne, rozlewały się jednaką miłością na rodzinie, bliźnich, kraj, z tą różnicą, że co jedno poczuło w milczeniu i w milczeniu skutecznie, drugie wypowiedziało rozgłosnie i z energią pełną zapachu przedsięwzięło. Były to więc czcigodne serca, jasne i święte; w długiej walce z przeciwnościami wypróbowane. Wicher żywota unosząc jedną po drugiej nadzieję ich i radość, żadnej unieść nie potrafił cnoty, albowiem były to cnoty gruntowne, szczerze, ważne — nie ów blichtrzy znikomy szychowych błyskotek, jakimi się moralne nicestwo świata przyozdabia, a które lada podmuch słoty doczesnej rozwiewa jak pyły.

Od kiedy pamięcią zasięgnąć mogłem, obraz domowego wnętrza był zawsze ten sam. Chędogie ubóstwo, trud bez przerwy ojca, troskliwe niepokoje i zabiegi matki, miłość małżeńska obopólna i szczerza, cieplejsza jeszcze po każdej przelotnej chmurze niezgody, czystość myśli i serca nieskazitelna, gorąca wiara — w takich to barwach i blaskach duchowych stapały jedno po drugich dnie moje i lata owiane żywotnym ciepłem domowego ogniska, w którym świecił jawnie promień błogosławieństwa niebios, bo nie było na świecie szczęśliwszej nędzy od naszej, ani weselszej samotności.

Mieszkaliśmy u podnóża Alhambry, której olbrzymie kształty sięgały wysoko nad nami. Od kiedy zapamiętam siebie niemowlęciem jeszcze, czołgałem się w cieniu sklepień i kolumn tego świata marmurów i harmonii, pełnego objawień i uroku. Od kiedy zapamiętam siebie, róże i tulipany Alhambry wabiły mnie uprzejmie, zefir powoływał do wysięgu, a strumienie zaklętych dolin Zeneralfu, co niejedno westchnienie sułtanek podsu-

chały i łzę ich niejedną uniosły, dzwoniły do mnie srebrnym słowem ufności, współczucia i nadziei.

W miarę tego jakim rościłem duchem i ciałem, a następnie głębiej zdołałem pojmnąć przeszłość dziejową Alhambry, wspanialsza stawała się ona dla mnie, uroczystsza i feeryczniejsza. Nie był to już tylko gmach monarchiczny, zadziwiający wytwornością form i ogromem, to była legenda wieków głazem wyrażona, to był symbol potęgi i sławy w kształtach widomych uzmysłowany, to było słowo przedśmiertne wielkiego narodu skryształizowane w jaspis, porfiry i marmury. Majestatyczna allegorya z kamienia objawiała się tam prawdy zasadnicze, moralne i społeczne Wschodu. Groźny fanatyzm Koranu, władzą mieczem rozgromu i błogiej upojenia edeńskich rozkoszy prawowiernym przyobiecane, stapały tam w parze z atrybutami sobie właściwymi. Spojrz na te baszty, strzelnice, surowe mury obwodne, na te groźne wspaniałe wieże Vermejas i Komares śledzące podejrzliwie dal skrajną przestrzeń ażali od jarów skalistych Alpuxary, od wawozów Sierry-Newady i Rondy nie ukazały się znowu chrześcijańskie proporce Ferdynanda i Izabelli, godła zwycięskiego Gonzalwa? To Alhambra rycerska! Alhambra wojująca, zaborcza, fanatyczna, mahometańska! Alhambra kilkowiekowej potęgi, heroicznej poezji, nieśmiertelnego rozgłosu! Alhambra Romancera!... Teraz opuść oko w nizinę. Potocz niem w okóło. Skup się całem jestestwem twojem w zmysłach. Pograż się w toni edeńskiej wrażeń. Galerye i krużganki osnute lekką siecią bluszczów i winnej latorośli. Po zwieszonych festonach zieleni pną się do góry barwiste łodygi roślin nie lubiących padółu, chociaż ten padół Alhambry — nie ziemia ale raj. Kędy spojrzysz — kwiaty wszędzie! — na sklepieniach, kolumnach, portykach! Jaskminy, anemony, tulipany, goździki i róże spłotyły się gęsto w dywan cudowny, by przechodząca Feja, Huryska albo Sułtanka drobną swą nóżką nie dotknęła ziemi. Dla nich to gwarzą półgłosnie wodne wytryski podwórza lwów, jakby pod rytm wierszy miłosnych Saadięgo i Hafiza, szemrzą rozkosznie balsamiczne pomarańcze Lindaraxy, głosząc cytrynom i sykomorom Zeneralfu rzewne nazwiska Zaidy, Fatimy, Celindy i Zary, nadobnych sułtanek Grenady, których powiewne postacie błądzą dotąd przy księżycu po murawie ogrodów Alhambry, po marmurach jej sal olbrzymich, jej wspaniałych choć martwych i niemych belwederów. To Alhambra rozkoszy, upojenia, szczęścia! Alhambra harmonii i uroku! Alhambra edenów proroka!

Od kolebki do lat młodzieńczych Alhambra była zaklętą formą, w której odlewał się stopniowo duch mój, przyjmując wszystkie stygmata i moralne kształty, tego świata poetycznych wrażeń i rycerskich pamiątek. Życzeniem ojca mego było żebym się poświęcił stanowi duchownemu, w którym musiał widzieć zapewne największą rekojmnię doczesnej pomyślności, jeżeli nie wiecznej. Matka moja tem żywiej podzielała to życzenie mego, że zbytciem macierzyńskiej miłości olśniona, wróżyła cuda o sukcesach dostojnego synalka, wyobrażając sobie, mam przekonanie, że zostanie luminarzem kościoła i bodaj czy ród mój podupadły papieską tyarą nie przyozdobie. Z tej zgody rodzicielskich przekonań i zamiarów wynikło to, że mnie oddano pod bezpośrednią opiekę jednego z najslawniejszych w Grenadzie pedagogów tamtejszego seminarium z nieokreślonym prawem wpajania we mnie teologicznych pojęć i dyscyplinarnej karności nie tylko perswazyą słowa, ale nawet (co mogłem dopuszczać) i argumentem zewnętrznych środków przekonania. Do tego ostatniego wniosku doprowadziła mnie pierwsza pre-

*) Ogród sułtanów Grenady.

zentacya solennie przez obojga rodziców moich w dniu 13tej rocznicy urodzenia mego dopełniona. Dom *) Alvaro mieszkał w murach dawnego Alkazaru od zdobycia przez Maurów Grenady datującego. Chłodna symetrya wewnętrznego urządzenia komnat odpowiadała surowym rysom jego marmurowego oblicza. Oko jego nie miało promienia. Usta nie miały uśmiechu. Na pergaminowem czole siedziała nie myśl żywa, samodzielna, postępową, ale ciemną, złowrogą, nieruchomą idea fanatycznego przesądu, groźna ludziom i Bogu niemila. Arbuez i Torquemada nie inaczej musieli wyglądać.

Wyrazić nie zdołam wrażenia, jakie ten człowiek wywarł na mnie. Wstrętem i obawą zadrgały we mnie wszystkie fibry uczucia, jakby w obec sztrazliwego jakiegoś zjawiska. A kiedy po odejściu rodziców sam na sam z nim pozostałem, w oczach mi się zaćmiło i serce zgroza przejęte uderzyło gwałtownie.

Cały rok zostawałem pod jego zwierzchnictwem. Cały rok opłakiwałem nieszczęsną dolę moją pozbawioną dawnej swobody, to jest najgłówniejszego dla mnie warunku bytu i wesela. Niestało mar złotych, powiewnych fantazyi, błogich uniesień duszy, które mi opromieniały się dnie moje i noce w jasnym edenie Alhambry! Cieżkiem brzemieniem opadły na mnie natomiast suche studya dyalektyki i wstępne teologiczne mozoły. Ani serce, ani umysł nie lgnęły do nich, bo innymi torami dążyć im nieba kazały, innymi blaski przyświecać. Zamiast Lopez'a de Vega, Calderon'a, Cervantes'a di Saavedra, meżnego inwalida Lepanty, których utwory,

*) Skrócenie słowa *Dominus*, względnie osób duchownych, w Hiszpanii używane.

nie wszystkie wprawdzie, lecz w znacznej części były dla mnie najmiłszą rozrywką, musiałem czytać ziewając asketyczne foliały świętej Teresy, Rivaadeneiry, Granady, albo drabować filozoficzne brednie Ludwika Vives, Sanchez'a de las Brozas i Quevedy, których nie rozumiałem, bo nie mogłem i nie chciałem rozumieć. Była to więc oczywista strata czasu, nadaremna tortura umysłu. Było to bezskuteczne pogwałcenie wrodzonych pociągów i potrzeb żywotnych natury mojej, łaknącej światła, przestworu, powietrza, ruchu, a której kazano skupić się, zwięzić i omdlewać w bezwładności, które zmuszano popełniać nieustannie nad sobą samobójstwo! Dom Alvaro widząc jawne niepowodzenie swoich usiłności, brał, jak to powiadają, na kiel i coraz natrętniej naciskał, coraz surowiej dotykał mnie, żeby z tego krzemienia wydobyć iskrę uznania wysokich celów nauki, do której tyle okazywałem wstrętu. Doszło do tego, że gdy ostre wymówki i strofowania nie odniosły skutku zamykał mnie w ciemnicy, pozbawiał snu, pokarmu, napoju, pastwił się nad moją cierpliwością, tryskał na mnie jadłem wściekłości i piekielnej ironii, bił, kaleczył, mordował z upodobaniem inkwizytora, kata, lub szatana! Lecz im się więcej zapędział, tem o twardszą trącał opokę, o sprężystszą siłę odporu, oburzenia i nienawiści. W młodej, prawie dziecinnej piersi, skłonnej przebaczyć i pokochać, rozniecił on cały wulkan niedobrych poroków, rozplomieniał całe piekło żądz krwawych, a chociaż loicznie sprawiedliwych, religijnie występnych. Eumenida ośladnęła mną. Nemezis wtoczyła mi sztylet do gorącej dłoni. Noc była. Noc ponura i czarna. Dom Alvaro spał. Wszedłem na palcach i stanąłem nad nim.

(C. d. n.)

Głębia morza i głębia powietrza

przez

DR. TOMASZA STANECKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Niezdługo bohaterowie nasi dosięgli grzbietu, który im obiecywał, że ich przeprowadzi na wierzchołek góry. Miał on nie wiele na sobie śniegu, ale podnosił się tak stromo, że nie łatwą było rzeczą wdrzeć się na te piętro. Po nadzwyczajnych wysileniach gimnastycznych pokrzepiając się nadzieją coraz złudniejszą, w miarę jak wyżej postępowali, widzą się niespodzianie — u stóp ściany trachitowej kilka set metrów wysokiej, która dalszą drogę zupełnie zagradza. Jakże w tej chwili uczucia ośladnęły ich serca, nie trudno odgadnąć. Wszak to dopiero wzniesienie wynoszące 5680 metrów, a nie marzyli o dotarciu do samego szczytu. Usiadłszy pod wroga skałą, polykają kawałeczki lodu, by ugasić pragnienie, i rozmyślają nad tem, co dalej przedsięwziąć. Dopiero trzy kwadransy na pierwszą, jeszcze więc dosyć czasu do wdrówek. Zimno poczyną dojmować, ciepłomierz pokazuje zero; powietrze bardzo wilgotne, powierzchnia skał całkiem mokra. Nadciągają chmury i niebawem ogarniają górę zamrokiem.

Rozdarły się przecie chmury, ale cóż odsłoniły? Oto po prawej ręce ziele okropna przepaść, po lewej sterczy skała, niby baszta strażnicza. Boussingault wdziera się na nią za pomocą swych towarzyszy, rozpatruje miejscowość i nabiera otuchy, bo dostrzegł, że z przeciwnej strony tej skały, która im drogę zastąpiła, znajduje się przypora ze śniegu, po której mogliby wyjść jeszcze wy-

żej. Spuszcza się więc z baszty, za nim dążą Hall i przewodnik. Na szczęście opór śniegu okazał się dostatecznym do utrzymania trójga ludzi.

W chwili, kiedy wstępują na nową drogę, odzywa się od wierzchołka góry kamień i spada tak blisko pułkownika, że ten ugodzony naciskiem powietrza nie mógł się utrzymać na nogach; wstał jednak zaraz, by oglądać bryłę — był to odłamek trachitu.

Oswoiwszy się powoli z widokiem przepaści, którą ostrożność w górach jest niezbędna, pną się do góry pod skały, o które się śmiało opierać mogą. Ale już dają się poczuć skutki oddychania rozrzedzonym powietrzem. Co chwila muszą stawać, a nawet przylegają na kilka sekund; ulgę przynosi tylko ruch, czego i Saussure doświadczał. I oto nowe grozi im niebezpieczeństwo: śnieg coraz płytszy, coraz pulchniejszy; już tylko 3—4 cali grubości, a pod nim lud twardy i gładki; trzeba znowu robić wręby, aby się nie ześliznąć. Przewodnik idąc na przód, wykonuje tę mozolną robotę. Ale już go siły opuszczają; Boussingault podejmuje się tej pracy, chce go wyminąć, — wtem śnieg usuwa się z pod nogi, i on pada na pochyłość zbocza. Z największym wyłożeniem sił udało się towarzyszom zatrzymać nad przepaścią prawie wiszącego; wszyscy w niebezpieczeństwie, bo łatwo może ich pociągnąć za sobą, jeszcze raz zdobywają się na siły,

i ocalają siebie i znakomitego badacza. O trzy kwadranse na drugą dociągnęli do końca zdradliwego przesmyku.

Wyżej się wdzierać było niepodobieństwem. Znowu przecięła im drogę urwista skała, której czub śniegiem pokryty stanowił wierzchołek góry Chimborazo. Próg na którym teraz spoczywali, był zaledwie trzy stopy szeroki i ze wszystkich stron otoczony turniami i przepaściami. Długie sopte wisiały nad ich głowami, niby wodospad złodowaciały. Powietrze było spokojne i czyste; widok wprawiający w zachwyt, w zdumienie, wynagrodził so- wicie wszystkie trudy i cierpienia.

Barometr pokazywał 371 millimetrów, a więc wzniesienie na 6004 metrów. Nikt jeszcze przed Boussingaultem nie wyniósł tak wysoko barometru. Pułkownik Hall nie posiadał się z radości; nie przestawał bawić swych towarzyszy żartami, rysując przytem obraz lodowego dworca, do którego pierwsi zawitali. Głosy ich zmieniły się zupełnie; stuk za uderzeniem młotka o skałę zaledwie słyszeć się dawał. Dolegliwości prawie całkiem ustąpiły; Boussingault, czuł wprawdzie pragnienie i ograżkę puls jego bił 100 razy na minutę, z tem wszystkiem jednak czuli się na siłach, a klimat wydawał im się dość znośnym.

Do trzeciej godziny pogoda była bardzo piękna. Tylko u stóp góry poczęły się gromadzić gęste chmury balwany i wnet zahuczały grzmoty, upominające naszych podróżnych do odwrotu, aby ich śnieg i zimno nie zatrzymały na lodowcu, ile że nie mieli już wcale żywności. Zstępując więc z wolna i ostrożnie po niebezpiecznych przechyłkach, korzystają z poprzednio nabytych doświadczeń. Już dosięgli dzielnicy 300 metrów niżej położonej, gdzie przez chmury przedzierać się muszą; pod nimi grad pada; ścieżki osłizły; największa ostrożność zespółiła się z największą odwagą. Nareszcie przyszli na to miejsce, gdzie muły na nich czekały, i około ósmej wieczorem stanęli na folwarku.

Oto szkic jednego z bardzo wielu nie mniej utrudzających i niebezpiecznych zapędów badawczych! Posłuchajmy, jaką wyprawę odbyli w tym samym celu balonem dwaj Anglicy, Glaisher i Coxwell, 5go września 1852. Aż do wysokości 10.000 stóp przebijali się przez obłoki, poczem wynurzywszy się z mglistej toni ujrzeni nad sobą pogodny błękit nieba, a na dole wspaniałe prze-

wały chmur, wśród których srebrzyły się niezliczone gór czuby i grzbiety. Na wysokości 19006 stóp Coxwell już z trudnością oddychał; 2000 stóp wyżej zimno stało się dotkliwym, ciepłomierz pokazuje 10 stopni R. poniżej zera. Przed 37 minutami wsiadając do łodzi aerostatu mieli 15° R. ciepła; różnica więc temperatur niepomierna w tak krótkim przeciągu czasu. Wyrzucają część balastu; w 10 minutach balon dosięga wysokości 26000 stóp, a termometr oznajmia — 15° R. Dotychczas Glaisher zajęty obserwacjami meteorologicznymi nie uskarżał się na żadne dolegliwości, tylko Coxwell który pilnował balonu i nateżał się przytem, ponosił przykrość krótkiego oddechu. Jeszcze więcej balastu wyrzucają, balon wzbija się do wysokości 29000 stóp. Glaisherowi mgli się wzrok, nie może rozpoznać cyfer podziałkowych na instrumentach, już i skazówki na zegarku kryją się w zaćmieniu. Wsparł się na stoliku, chce przetrzeć oczy, a tu ręka zdrętwiała, podnieść jej nie może, — i drugą już nie włada. Wstrząsa całym ciałem, i zdaje mu się, jakby ręk i nóg był pozbawiony. Głowa opadła na lewe ramię; podniósł ją na moment, znów zwiła na prawe ramię. Pochylony na poręczu gondoli, zwraca oczy ku towarzyszowi, którego jakby przez mgłę rozeznaje; usiłuje przemówić, ale bezskutecznie. Zaćmiło mu się całkiem w oczach, jeszcze jest przytomny; z rezygnacją oczekuje chwili zgonu. — po dwóch lub trzech minutach zupełnie odechodzi od zmysłów. — Po niejakiem czasie słyszy wyrazy „temperatura“ i „obserwacja“, odzyskuje zatem przytomność i słuch, poznaje że Coxwell do niego przemawia, słyszy wyraźną zachętę: „Niechże pan spróbuje, proszę pana“, ale jeszcze go nie widzi, nie może się odezwać ani ruszyć. Nareszcie przeziiera, jakby ockniony z otępienia, podnosi głowę i mówi „byłem bezprzytomnym“. „Uważałem to“, odrzekł Coxwell, „i ja byłem bliski tego stanu; ale oto ręce mi poczerwiały, nie mogę niemi ruszać“. Glaisher połał je wódka, i zaraz zajął się instrumentami; ciepłomierz wskazywał 15° R. Podczas gdy Glaisher był w stanie uspienia, towarzysz jego poczuł, że drętwieje od zimna, że traci siły, — chce więc co prędzej uchylić kłapy, niestety! rękami władać nie może; chwyci wtedy sznur od kłapy zębami, i pociągawszy rozpaczonym wysiłkiem, otwiera wypust od balonu, — a ten poczyną spuszczać się na dół. (C. d. n.)

MECZENNICZY FANTAZJI,

N. O. W. E. L. L. A

z niemieckiego

LUDWIKA FOGLARA.

(Ciąg dalszy.)

Wśród tych stosunków i kolizyi, jak skromna róża ledwie się rozwijająca, nieświadoma swej woni i krasy, żyła dziecinna jeszcze, młodzianka — Alma; zamyślenie jej częste i małomówność przypisywano zastanowieniu się nad otaczającymi ją wrażeniami i całym przed nią otwierającym się światem. Kilka lat przeminęło w ci- chym spokoju, którego nic jej niezaćmiewało; bo jeszcze szatan zawiści, obłudy i oszczerstwa nieważyl się prze- stąpić progu tej świątyni. Ale podwaliny jej były sta- rannie podkopane, i jedno nic jeden, pozór zewnętrzny, zdolny był zatrzeć jej filarami. Bo obojętnie omijają lu- dzie to, co im się zda zawiści niegodne, a nieublaganie miotają się, by zburzyć to, czego by sami postawić nie

potrafil. Krótka wycieczka do Homburga u stóp góry Taunus, przyczyniła się do tego.

Podróż wyjątkowo zbliża ludzi i objawia jednych drugim, w swobodnych, aforystycznych godzinach.

Orbes, marszałkiem podróży mianowany, nie- śmiał ani atomu zawiści rzucić w serce Gontarda; cha- rakter jego, nie miał ku temu skłonności, a Gontard przy- wykł do otoczenia Zuzanny przez Helikońskie koło, jak je w żarcie nazywał. Nieprzynależał się nawet, że mu bardzo pochlebiało stanowisko jakie dóm jego zajmował, a nikt nie ważył się myśla nawet rzucić najmniejszą rdzę na srebrną tarczę cnoty Zuzanny. O tem niezmownie był Gontard przeświadczony.

Świat jednak niezasypiał, niezasypiał i Orbes czujny. Nieuszło jego uwadze, że, od pewnego czasu, dziwnie sępniała Alma i że brat począł się trwożyć o jej zdrowie. Dla niej to przeznaczono kąpiele Homburskie. W pochodzie przez długą leśną przechadzkę, przystali raz Orbes i Zuzanna. Orbes rzekł wskazując oddaloną knieję, w której gubiły się dwie idące postacie:

— Czy kiedy kto widział naszą małą Alnę tak swobodną, zdrową i pustą, jak świergotliwe ptasze?..

— Znajduje się w latach snów i swobody, odrzekła Zuzanna.

— Tak! sny to rzecz piękna, kóżby zawsze snić nie chciał? ale marzenia są dobrowolnem wyniszczaniem siebie samego, są złudą tych co działać niezdolni! Trzeba żebyśmy sobie samym byli jasnymi — w nas i wkoło nas, jasno być musi... Jakże to do Almy zastosować?.. Czy mam być zwięzły i dobitny? nie lubię przenośni...

— No?..

— Alma kocha Frydryka!.. Zuzanna jak porażona, ukryła rumieniec schylając się za kwiatkiem leśnym; potem odrzekła spokojnie i poważnie:

— Tem uczuciem duchowem, które wiąże wszystkich znacznych i szlachejnych w jedną czeladkę. To życie ziemskie powinno być wniebowstępowaniem, i błogosławiona każda ręka co nas w górę podnosi, by o stopień wyżej nas dźwignąć, na tej drabinie Jakóbowej.

Zuzanna, jednak mówiła te słowa głosem bardzo niepewnym, ręka jej uniosła się w powietrzu, jak dla przysłonięcia twarzy woalem, a tylko z lekka przetarła czoło płonące, bardzo, jednak zostawszy Panią swego wzruszenia, spokojnie zacytowała ustęp z Pindara:

— „Pragniemy tego co najwyższe, ale niechaj żaden z synów ziemi nie zuchwali się do tego stopnia by sobie wyobrazić, że jest w stanie połączyć w sobie wszystkie te przedmioty, którymi obdzieleni są różni ludzie, że zawiera w sobie wszystkie barwy i światła, które stanowią całość ideału, i niech niemarzy, że sam sobie wystarczyć... Część tylko jaźni wszechświata w nas przebywa, reszta żyje w drugich, — odłamy tylko tej całości objawiają się w indywidualach — ażaz niekochamy wielkiej, nieznannej całości, Idee?..” Pan mówił o przyjaźni, o sympatii, o pokrewieństwie duchów — ja jednak.... Pan.... przeczyż zasadzie, która jeszcze Pitagorejczyków łączyła...

— Ależ my, odparł Orbes, żyjemy w osiemnastym wieku...

— Jednak, kochamy tak samo ludzkość, zdolni tych samych, co oni, uczuć przyjaźni, mniej samolubnych niż dzisiejszy kodex miłości!

— Łaskawa pani, odrzekł, nie łudźcie mnie i siebie! Miłość powstaje tu — na świecie w którym żyjemy, i nie tylko z samego ducha się składa, ale i z materji, nie mówię przeto z materializmu. Miłość pozbywszy się wszelkiego kształtu ująć się dającego, uczucie którebyśmy tak zidealizowali, żeby zupełnie uszło rzeczywistości, a tylko duchem istniało, któremu niemożliwimy nadać ani podstawy ani nadziei, stałaby się w końcu niebezpieczną mrzonką, ulotniła by się wreszcie, a choćby w nas pozostała, jej wpływ zbawienny na serce stałby się bardzo zagadkowym.

— Więc cóż? więc cóż?!

— Więc... kóż obliczyć zdoła pulsowanie pękającego serca?

— Ale w tym razie zdaje mi się, że się mylisz, zacny Doktorze.

— Albo Pani pragniesz bym się mylił.

— Niewidzę możności spełnienia się ich życzeń...

— Aha! pani masz na myśli Gontarda i jego zasady? To będzie mojem staraniem. Mam zmysł umożliwiający mi błogi tryumf, jaki bym osiągnął dopomagając do szczęścia dwojgu tak szlachetnym ludziom.

Tu połączyli się z resztą towarzystwa. Uroczyste milczenie, opanowało wszystkich, a Gontard wróciwszy z pomyślnego rybołówstwa, weselszy niż kiedyś dowcipkował na karb „muz melancholicznych“ prześladował Panie Platonem i Spinozą, Panów mytologicznymi pomysłami, a cieszył się w sobie na smaczne, ułowione pstragi. To usposobienie nie opuściło go i w ciągu obiadu, a dopiero gdy Orbes zaproponował mu konną przejażdżkę, do której i Frydryka wezwał, wrócił do normalnego stanu. Frydryk się wymówił, Gontard polecił mu służbę około płci pięknej, uściślał swoich chłopców, zajął do gazety handlowej i wyjechał wolnym galopem w towarzystwie „przyjaciela“.

Frydryk obiecał odczytać parę ustępów z swego nowego poematu „Hyperion“, poszedł po rękopis, a Panie same zostały.

Ramię w ramię poczęły się przechadzać po ogrodzie, w chłodnej i wonnej atmosferze, wreszcie usiadły w cichym chłodniku.

Zuzanna zdała się głęboko wzruszoną, kiedy Alma milczaco poglądała przed siebie, pod wpływem jakiejś tajemniczej zagadki. Zuzanna ucałowałszy jej blade czoło, wpatrzyła się w nią badawczo.

— Moja Almo, tak dawno już nie słyszałam cię śpiewającą... czy się czujesz niezdrową... czy może jaką tajemnicę ukrywasz przedemną?..

Alma po chwili padła jej na szyję, i szlochając głośno ukryła twarz w obie dłonie.

— Czy niemam już twego zaufania moja droga, ciągnęła dalej Zuzanna, czy niepotrzebujesz już udziału żadnej bratniej Ci duszy na ziemi?... Czybyś się obawiała uśmiercenia tych świętości, gdyby się słowem stały? A jeżeli cierpisz, czy cierpienie niemołoby być podzielenem, a temsamem zmniejszonym przy sercu ukochanej siostry?.. Lekarze, jakoś niemogą dojrzeć głębi twej istoty, a złe zdaje mi się, tkwić w sercu twojem... Ja zaś przychodzę z prośbą przyniesienia Ci ulgi.

— Nietroszcz się mna, odrzekła Alma, daj mi tak przejść w niemym spokoju, jak dziecku, nieobliczając się z tem co się we mnie dzieje, bo to co czuję, przeczuwam raczej, i sama sobie nie mogę jasno odpowiedzieć!.. Mogłabym w długiem zadumaniu zapomnieć siebie i świat cały, tak wielkim jest zasób szczęścia — i boleści w tym obrazie...

— Czy Ci ująć w słowo ten obraz?

Alma niemo zadrzała —

— „Frydryk!“

(C. d. n.)

PRZEGLĄD LITERATURY DRAMATYCZNEJ.

(Dokończenie.)

Patrz Nr. 7.)

Dla braku miejsca zmuszeni streszczać się. Kilku tylko słowy zwrócimy jeszcze uwagę na niektóre, wcale cenne utwory naszej, nie zbyt bogatej literatury dramatycznej, zdolne w dobrym przedstawieniu na scenie, bardzo się podobać. Są one systematycznie usuwane z repertuarów, jakkolwiek tyle w nich doprawdy wyższych zalet, że mogą się wygodnie pomieścić obok „*Princesse Georges*” lub „*Vieux garçons*”. Wskażemy np. na tragedję Mieczysława Romanowskiego: „*Popiel i Piast*”, przetrastając duchem wszystko prawie, co od czasu napisania tego dramatu, u nas na tem polu nowego stworzono. Takie tu świeże powietrze wieje zewsząd, taka pierwotna twórczość, tak rozległy horyzont myśli, wraz z charakterystyką dochodzącą czasem Szekspiroskiej wypukłości, że po przeczytaniu dramatu, czuje się umysł orzeźwionym jak po kąpieli w górskim potoku. Szkoda, ażeby tyle brylantów poetycznych zmarniało... I tu jednak także robimy zastrzeżenie, że gdyby chodziło o krytyczny rozbiór dramatu, musielibyśmy uczynić mu bardzo wiele zarzutów nieprawidłowości w kompozycji, bardzo wiele należałoby w nim wskazać zasadniczych usterek, co wszystko jednak nie przeszkadza scenicznemu przedstawieniu. Na tle słowiańskich legend nawet Słowackiemu udało się stworzyć tylko poemat mglisty i symboliczny; „*Popiel i Piast*”, będąc obrazem natury Słowiańskiego pierwiastku w przedchrześcijańskiej dobie, potrafił uchwycić wszystkie typowe jego rysy i dać wspaniałą poezję w zespoleniu z historyczną wiernością. Im to bywa rzadszem i trudniejszem, tem bardziej powinno być cenionem.

Po śmierci Karola Szajnochy wiele mówiono o pozostałym w jego papierach rękopisie historycznego dramatu „*Wojewódzianka Sędomierska*”. Uważalibyśmy za dowód zapobiegliwości ze strony nowej dyrekcji teatru, gdyby tę spuściznę odszukała i wprowadziła na scenę.

Powracając jednak od nieboszczyków do żyjących, wskażemy na parę utworów Wacława Szymanowskiego, jak „*Dzieje serca*”, „*Michał Sędziwiój*” i „*Salomon*”, z których szczególnie ostatni wyróżnia się głębokością rysunku psychologicznego i piękną szatą dykcji. Wskażemy na usunięte z repertuaru dramaty K. Piętkowskiego: „*Scena za sceną*” i „*W chacie i w dworze*”, z których pierwszemu czynią zarzut ekliwego sentymentalizmu. Ale w naszych czasach tak się smak publiczny rozluźował w motywach powszednich, że sentymentalizmem nazwano każdą prawie czystą poezję. Tak się ma i ze „*Sceną za sceną*”. Nie wiercie temu — niema tam ekliwości, jest tylko źródło głębszego wzruszenia i język nieskażonej poezji.

W układzie przyszedł repertuaru jedną radzilibyśmy wprowadzić zasadniczą reformę. Wiecznym *plat du jour* naszych teatrów była produkcja sztuk francuskich, pisanych dla potrzeb i gustów tego społeczeństwa tak niższego od nas moralnością życia, naturą obyczajów, poletem ideałów poetycznych.

Co się rodzi nad Sekwaną, wysnuwa się tak wyłącznie z jednego motywu — namiętności najbardziej ziemskiej — wiarołomności kobiety lub mężczyzny, że ztąd biorąc miarę możnaby posadzić świat ludzkich stosunków i świat dramatycznych motywów o zupełny brak kolizji i stosunków innych. A przecież tak nie jest. Chociażby jednak i było, to sami Francuzi, malując wiecznie ten sam obraz, zużyli skarby swojej wyobraźni i przedmiot wyczerpali. A chcąc bądź co bądź pozostać wiernymi nie-

zaszczytnej tradycji, wysączywszy, jednak z tego kielicha brudu wszystkie już szumowiny, wyzyskawszy te strony kwestyi, które w niej najbardziej podpadały oku, stanęli na punkcie rozpaczliwym, gdzie życie odmówiło już nowego tematu, nowej treści, nowych interesujących zakłóceń, gdzie już tylko sztuką kombinowania zużytych intryg i sponiewieranych efektów można jeszcze ulepić domek, brudny wprawdzie i wiotki — no, ale zawsze domek... Ktoby zważał na nędzną budowę, kiedy jest dosyć przestronny, aby się w nim pomieścił upadek kobiety.. I przyszło do tego, że nawet autor, który pisząc „*Damę w kameliach*” był jeszcze prawie genialnym obserwatorem i wzniosłym poetą, dziś stał się oburzającym, że słodki twórca „*Dalili*” napisał „*Julie*” a Emil Augier „*Pawła Forestier*”... i stało się, że świeżość pomysłów zastąpiono wyrafinowaną excentrycznością, która niema w sobie najmniejszej żywotnej podstawy.

Autor „*Księżniczki Georges*” opędzając się zarzutem, że stworzył w swej sztuce sytuację wyszukaną i nienaturalnie rozwiązaną, powiada: „A jakże inaczej miałem ją zakończyć?”... Ależ nie trzeba było wcale zaczynać, bo takie wypadki są w życiu nazbyt wyjątkowe a w dramacie wstrętne — więc sztuka taka ani nauczy, ani podniesie..

Imi znowu autorowie, jak Belot i Gondinet stanawszy u kresu, gdzie się zaczyna brak materiału, poszli do księgarza Michel Levy lub Dentu, kupili sobie kodex karny i nuż wertować paragraf po paragrafie. Znaleźli tam wiele niesprawiedliwych przepisów i na ten temat popisali sztuki dla łakomych dyrektorów teatru, stawiając pod pręgierzem opinii — obowiązujący we Francji kodex, jak gdyby trybuna Zgromadzenia narodowego była zamknięta a p. Tiers wolał uczyć się prawodawstwa w *Châtelet* niż w Wersalu.. *What next?*.. Kodex wprawdzie ma wiele paragrafów, ale gdy i on się wyczerpie?..

Oto mi jednak chodzi, że nastąpiła chwila, w której stanowczo należy zerwać z teatrem francuskim. Co było tam dobrego, już przetłumaczyliśmy, a sztuk najnowszych jak „*Baronowa*” lub ta nieszczęsna „*Księżniczka Georges*” tłumaczyć nie możemy, bo wyrządzilibyśmy społeczeństwu naszemu i naszej scenie krzywdę. Nie rozumiemy tu naturalnie, aby budować już nieprzearty mur chiński — i pośród wrzósów błotnych wychyla się czasem kwiatek — ale chodzi nam o to, ażeby nie być dłużej niewolnikiem w służbie fabrykantów paryskich, a raczej zwrócić uwagę w stronę, gdzie otwiera się widnokrąg szerszy, wspanialszy, dńcha godniejszy.. Jeżeli panuje u nas pewna bezpłodność na polu dramatycznej produkcji i pomocy żądać musimy u postronnych, nately poważnością kierunku, szerokością myśli, zacnością dążeń, poezją słowa góruje dziś po nad wszystkie inne literatura dramatyczna niemiecka. Niema tu lekkiej wytworności dyalogu francuzkiego, niema błyskotek wątpliwego dowcipu, ale jest przedmiot z życia lub historii zawsze poważny i dotyczący najgłębszych zadań jednostki czy ludzkości, gdyż Niemcy uznają słusznie, że w instynkcie zmysłów nie skupia się jeszcze cała dusza świata, cały zakres ludzkich stosunków i dramatycznych kolizji, że po nad apoteozę zwierzęcej natury są motywa życia, w których się przejawia czysto duchowa strona człowieka ze swemi zbroczeniami i śmiesznościami, dająca pole do wyzyskania w satyrze komedji lub bohaterkiej apoteozie dramatu. Dlatego to właśnie dzisiejsi niemieccy dramaturzy tak przeważnie czerpią motywa z historii,

wyjmując z niej idee i postacie, w których się skupia najwięcej interesu duchowego. Czemu Francuzi, mający tak świetne karty historii, nieumieją jej wyzyskać dla sztuki?.. Bo dramat historyczny wymaga studyów, a dramat z półświata rodzi się na bruku. Do tego więc przyszło, że najwspanialsze chwile historii francuskiej musieli opracować Niemcy. Brachvogel musiał pisać „Księżniczkę Montpensier“, Oskar Welten „Théroigne de Merois“, Hammerling „Danton i Robespierre“... Niemcy mają zmysł historyczny szeroko rozwinięty, a w dramacie osnutym na kanwie dziejów, najbardziej chodzi właśnie o wydobycie historycznego wątku z wypa-

dków, który bohatera czyni narzędziem idei, bieg dziejów urzeczywistnieniem wyższych prawideł bytu. Dlatego poeci niemieccy ściśle historycznych trzymający się przedmiotów, jak Laube, Gutzkow, Brachvogel, Weilen, Gottschall, lub na pole nieokreślonej fantazyi chętniej wysuwający się, jak Halm i Mosenthal, stworzyli szereg wspaniałych obrazów, kędy duch ludzki przejawia się w kształtach, daleko wspanialszych i daleko prawdziwszych, aniżeli — proszę mi wierzyć! — w nowoczesnej komedyi francuskiej, będącej Panteonem bezwstydu.

Bromstew. Zarządki.

KRONIKA ARTYSTYCZNA WIEDENSKA,

przez

N I N O.

(Dokończenie.)

Fedra, Rasya, w znanym przekładzie wielkiego Schyllera zyskała o tyle, że bohaterowie zostali otrzepani z pudru pseudoklasycznego i wolni od peruki à la Louis XIV, że Tezeusz był więcej Grekiem niż Francuzem, Hipolit synem godnym amazonki, a Fedra prawdziwie patetyczną, niezmuszoną deklamować trzynastozgłoskowych frazesów a postawioną na wielkim tragicznym koturnie, ofiarą anaguki, która choć się staje furją boleści budzi współczucie od początku do końca. Gra jej przeszła się tym razem w prawdzie i potęgę — akty były chwilami, zdawało się że kortyna wznosi się i zaraz opada... tak zapominało się o scenie. Nierównamy panny Wolter z klasyczną Rettich, ale ma ona swoje zalety, których tamta nie miała. Fedra jej nie była tym posagiem z marmuru ogniem zięjącego w swym spokoju, jakim była Rachel, furę Fedry deklamowała mniej gwałtownie jak wielka Ristori — we Fedrze poczuła tylko nieszcześliwą kobietę, kochającą tak silnie, strasznie i ogromnie — że nawet nienawidzić nie zdoła — i kiedy chce znienawidzić — kona!... dlatego współczucie trwa do końca.

Hipolit (Krastel) dzielny syn amazonki, zawołany kierownik wiatronogich rumaków, którego nienawidziły niewiasty zato że ich niemiłował, ten dziki ulubieniec lasów i pustyń, kochanek natury, oddany został dobrze dopiero w rzewnej chwili, kiedy ukochał Arię siostrzenicę króla. Jest w Luvrze obraz szkoły Francuskiej, tej że co Rasya tradycyi pseudoklasyczej, Piotra Guérin, przedstawiający Rodzinę Tezeusza. Sam król — w podejrzeniu — Fedra z piekłem ukrytem w sobie — z boku stoi Hipolit — cudny posag szlachetności i dziewczęcości młodzieńczej — ruchem ręki wymownym dumnie i skromnie odpierający zarzuty na się miotane, których nawet nie zdaje się pojmować. — Ten Hipolit jest ideałem Hipolita, piękniejszym niż u Rasya. Ustęp przepyszny i par excellence dla Francuzów stworzony o wyżygnięty przez fale morskie potworze, który przeraził i spłoszył rumaki Hipolita, ustęp ten z przerażającym wyrazem oddał spiżowym głosem swoim p. Lewiński. Dreszczem przejmowały jego spokojne, a jak noże ostre wyrazy.

Był też wieczór na cześć Grillparzera z fragmentem jego „Estery“. O Grillparzerze, odkąd umarł, tyle prawdy, że jeżeli kadzidło dochodzi szczytów Parnasu, jeżeli tam czytują gazety, nieraz poeta musi ziewać w sferach Olimpijskich, czytając te pośmiertne komplemента, które nieraz nazbyt są cikliwe. „Don Juan“, „Fidelio“, „Armida“ Glucka, „Romeo i Julia“ Gounoda, „Hugenoci“ i „Lohengrin“ zapelniały ostatni repertoar

opery. Dziś wznowiono „Meistersingerów“ Wagnera, na których nie poszedłem by złowić chwilę wolną do przesłania wam tego zarysu. Lohengrin od pewnego czasu jest potrzebą Wiedeńczyków, ściga tłumy. Tym razem tenor Labatt w roli tytułowej kokietował swymi wysokimi tonami rzadkimi u tenora, mniej dramatycznością gry swojej. Elsa panny Ehn — także była przywoitą ale nie nadto i widocznie nie w swej roli. Elsa — ta śnieżna postać spotwarzonej kobiety — występującej w obec swego sędziego: całego narodu, winna być sunącym się posagiem; na mimice raczej niż na spiewie zawiśła potęgą całej pierwszej sceny, przypominającej Choefory Eschylosowe! Powinna mieć charakter żałośny a dumny tej smutnej niewiasty Canovy, co urnę z popiołami wnosi do swej piramidy... z tym smutkiem pełnym przeświadczenia, że potwarze runą prędzej-później i zdechną jak gadziny, ale boleść po nich zostanie, niewierząca, że one przeszły, jak mróz co zmrzaża kwiat, jak te łyzy, o których mawiała nasza ubóstwiona Jadwiga: „kto je powróci?“ Akcja i siła głosu panny Ehn chybiły tym razem, ani wiedeńskie loki panny Ehn, ani tusza zasłużonej pani Dustmann nie dopiszą w tej roli; o ile pamiętamy, pani Mallinger palmy w niej godna. Włosy jej lunęły potokiem aż ku ziemi, chód odpowiadał rytmowi orkiestry, a spiew odpowiadał zadaniu. Fidelio Beethovena prawie równie świetnie wypadł jak przeszłego roku Leonora, pani Dustmann, przeszła się tym razem w uczuciu i werwie. Leonora, ta postać bohaterskiej żony, która przebrana po mężku, zdołała się dostać jako sługa klucznika do ciemnie więziennych ubóstwionego męża, mająca siłę z klucznikiem kopać grób dla niego, w którym ma legnąć zamordowany, ta kobieta zawsze wygląda nam — na Polkę! i tylko Beethoven mógł oddać w tonach taki charakter. Florestan, mąż w ciemnicy zagrzebany, czarny żałobą społeczną, nie jest że to ta nieszczęsna generacja, która po upadku rewolucyi, Napoleona, tysiąca rozbudzonych nadziei doczekała się — kongresu wiedeńskiego, której wzbroniono widzieć i myśleć? Jedna połowa jej, jak Florestan gnć musiała w łańcuchach, druga spiskować tajnie, jak Mazini. Nie dziw, że Schumann tak lubił sobie pseudonim Florestana. Duet nieśmiertelny radości oddany był pięknie, choć dla jego oddania w ciąg opery pan Walter nadto głos swój szanował. Grupy wolnych więźniów były prześliczne. Niemniej druga uwertura do Leonory między aktami wykonana, pod przewodnictwem Dessofa, który coraz wybitniejsze zaczyna stanowisko.

Nowością oczekiwaną jest „Ferramors“, opera Rubinsteina. Wirtuoz ten rozwinął w ostatnich miesiącach czynność swoją na olbrzymią skalę. Naprzód pod jego

dyrekcyą słyszeliśmy „Requiem“ Mozarta, które (prócz małego błędu puzanów) poszło świetnie, mianowicie „Lacrymosa“ i „Confutatis Maledictis.“ Następnie sam R. dał drugi koncert fortepianowy solo, z wielkim programem. Koncert ten był jednym z najwspanialszych, jakie słyszeliśmy w życiu — tym razem jeszcze lepiej był usposobiony. Powtarzamy cośmy wyrzekli, że ze wszystkich trudności R. wywiązał się jak lew, a gry jego słuchając miło jest uczyć się i używać, miło również dać się porwać uczuciu podziwu i oceniać grę, choć się z człowiekiem nie ma najmniejszej styczności. Program mógł wyrażać zasadę, że jeżeli nie zbyt trudnego to i nie za łatwego nie masz dla prawdziwego mistrza. Część I składały: uwertura z Egmonta Beethovena, na fortepian ułożona przez koncertanta, z wyrazem oddającym plastykę całej orkiestry, Rondo Mozarta, Waryacje Händla i Fantazyja chromatyczna Bacha. Część II. Sonata C dur op. 53 Beethovena, która technicznie oddzieliła się od wnętrza mistrza, jak dojrzały owoc spadający z drzewa dla użycia. Strona jej duchowa pełna życia i ognia, tempo pulsujące gwałtowną rytmicznością Tytana. Część III była szczytem wszystkiego, jednym tchem odegrano 12 studyów symfonicznych Schumana; oddanie *nec plus ultra*, uwielbieniem przejęło wszystkich. Część IV była schodzeniem z olbrzymiej góry w kwiecistą dolinę złożoną z „Moment musical“ (Es-dur) Schuberta i „Ständchen“ Liszta. Pieśni bez słów Mendelssohna, Nocturnu (C moll) i Polonesa (as dur) Chopina. Polones tylko był Achillową piętą koncertu — czy gorączka wzburzonych uczuć, czy wybujała indywidualność podniosły go do kwadratu i okazały przez mikroskop nie Chopinowski — była to fantazyja fortissimo na temat Chopina. Inni krytycy wychodząc z sali tego samego byli zdania, czemuż inaczej pisali? *Non relata refero*. R. grozi jeszcze koncertem pożegnalnym i daje wieczór muzyki komnatnej (Kammermusik), prócz tego trzy nadzwyczajne dyryguje koncerty, w których daje swój „Raj utracony“ i muzykę Schumana do Fausta. Ta ostatnia rzadko dawana niezmiernie ciekawa jako jedna z czterech słynnego w swym czasie „Faust-problemu“, którego pomnikami uwertura do Fausta Wagnera, Faust-Symfonie Liszta, Berlioza Damnation de Faust i powyższa Schumana.

Po ukończonych słynnych kwartetach Hellmesbergera przybył kwartet Florencki. Przewodnik jego Becker jest człowiekiem, który śpiewa na skrzypcach jak nikt drugi! Kwartetem Rubinsteina (v. b. część I i II), Schumana i Beethovena (op. 130), przenieśli słuchaczy w ten świat lepszy ideału, w który dziś niezawsze przenieść umieją artyści. Odznaczył się jeszcze kwartet kompanii pana Dubez (salon Boesendorfera), który coraz więcej zwraca uwagę ogólną. Salon Boesendorfera kwitnął okazale w tym roku, między innymi koncert panny Timanof uczennicy Rubinsteina, pana Roessel ucznia konserwatorium wiedeńskiego i t. d. Wielkie też są zasługi Boesendorfera w obec sztuki i artystów, firma i człowiek jednogłośnie wzniesione przez wszystkich, artyści bez wyjątku salę mają do koncertów bezpłatnie, równie fortepiany w mieszkaniach, które kupując, kupują po bardzo niższej cenie. W salach konserwatorium stoi dwadzieścia kilka fortepianów darowanych przez Boesendorfera, a kiedy po zmowie robotników podniósł cenę płacy, nie podniósł jej na cenach fortepianów. Postać oryginalna w swoim rodzaju, jakiej się nie spotyka dziś w społeczeństwie wszystko na groszu opierającym. Miło podnieść zasługę człowieka, któremu artyści tyle mają do zawdzięczenia. Chcieliśmy na tem skończyć o koncertach — niepodobna — oto leży stos programów, a każdy się zda prosić: mnie weź, mnie jeszcze upleć do wianka twych wspomnień

uroczych, i moje tony do najpiękniejszych chwil ci się przyczyniły. Podnosimy jeszcze koncert akademii śpiewu a w nim Palestriny: *Tenebrae factae sunt*, chór 5-ciu głosowy, jeden z najbardziej wieszczęch utworów Palestriny. Niepomnę mistrzowskiej deklamacji panny Baudius, artystki z Burgu. Wygłosiła wiersz Hebbla, oddający chwilę, kiedy dziecko, którego matka usnęła, nieświadome otchłani, biega swawolnie po cembrykach bezdennej studni, spozstrzega na dnie cion swój, igra z nim, mały przyjaciel wabi go śmiejąc do siebie, dziecko przechyla się... przeraża czarną głębią — i znowu nieświadome niczego biegnie do śpiącej piastunki. Wiersz ten oddany był z przejęciem i prawdą, która do końca odetchnąć nie dała — kwiaty nagrodziły artystkę. Drugą część koncertu wypełniła muzyka Schumana do Wilhelma Meistra. Partye Mignony śpiewała panna Magnus z przejęciem się tą rolą; znakomicie ujęła krótki rys charakteru Filiny pani Passy Cornet, a partye Harfiarza majestatycznie oddał pan Schmidt. Rozrzewniło wszystkich programowo ujęte „Requiem“ za Mignon. W drugim koncercie akademicznym z wielką przyjemnością słuchano śpiewu pani Maryi Grottger (siostry Artura). Artystka przyniosła zaszczyt swej mistrzyni (pani Passy Cornet) odśpiewaniem arii Donizettiego z „Don Sebastian.“ Głos jej nabral dźwięku, siły i porwającego wyrazu. Pani M. G. podobno do Włoch się udaje; nim ją usłyszą Włochy, czyż nie powinnyby odwiedzić stolicę Polski, z którą tak niezatarte łączą ją wspomnienia? Obok koncertów wspomnianych słyszeliśmy znakomity, co się zowie, koncert profesora Śmietanańskiego, pianisty, Krakowianina. Programem i grą swoją zdobył on słuchaczy wstępnym bojem; zrazu przeszkadzała mu obawa, którą zwalczył bohatercko. Sonata (G-moll) Schumana, Fuga Bacha (a-moll Liszt), Sonata (B-moll) Chopina, Scherzo Rubinstein, waryacje Brahmsa i własne kompozycje, z wielką precyzją i opanowaniem instrumentu połączone zjednały mu na zawsze imię muzyczne w Niemczech. Dlaczego pan Śmietanański szukać musi posady u obcych? czy mało w kraju po temu miejsca? ani Warszawy ani Lwowa nie odwiedził... Czasy, kiedy Chopin, Lipiński, Dawizon nieuczczeni odrazu tulać się musieli, aż zabłysnęli i zostali u obcych, już minęły. Jest w kraju kilku artystów prawie nieznanych szerzej. P. Zarzycki ledwie o Lwów potrafił, nie dość tam oceniony. P. Żeleński znakomity już dziś kompozytor ani się we Lwowie pokazał, kilku innych we Francji i niewiem gdzie, walczy z cudzą zawzięcią — „hej ramie do ramienia“ niech nam będzie hasłem, biada temu kto by zmarnił lub dał zmarnić swe siły... czas już by kraj miał rodzimych artystów na posadach krajowych, a to nas uwolni od wielkich ludzi z małego miasteczka. Koncert na ubogich dany w Tow. filharmonijnem, przyniósł prócz koncertu (G-dur) Beethovena (Rubinstein) uwerturę i międzyakty z opery Glinki „Książ Cholskoj.“ Glinka równie, jak przed nim Rimski Korsaków, zrobił małe fiasco. Ostatni bardzo niesłusznie... utwory jego mają wiele wartości muzycznej i szatę zewnętrzną najstaranniej, świetnie nawet opracowaną. Wolimy wprowadzić jego „Kamarińskaja“ słyszaną gdzieś indziej, ale entreakty „Cholskiego“ mianowicie „valse noble“ kiedyś będą wysoko cenione.

Ostatni koncert filharmonijny obok wspaniałej uwertury „Hybrydy“ Mendelssohna-Bartholdy i koncertu C dur Beethovena (Jael) przyniósł dawno upragnioną „Symphonie phantastique“ Hektora Berlioza, tego arcymistrza instrumentacji, o myślach i pomysłach, które może w XX wieku dopiero, gdy do nich publiczność dojrzeje, dostatecznie zrozumianemi będą. Muzyka to programowa takiej tęsknoty za ideałem i genialnej potęgi form, jakiej

nie mamy. Składa się z pięciu części. Część I. Treść życia duchowego młodego artysty, który w kobiecie napotkanej w życiu przeczuwa swój ideał (temat C-dur przewodni); uczucie szczęścia, radości, boleści, tęsknoty aż do rozpaczliwych szczytów modlitwy, szczeblują na przemian po wyżynach duchowych i falami tonów piętrzą się w nieskończoność, jak rozhukane morze. Część II. Bał—do koła światłość, wrzawa, temat allegro instrumentowy z delikatnością puszków skrzydła motylowego—on sam, ona nieobecna—wszędzie mu jest obecna. Część III. Scena idylliczna—pola, góry i lasy, kobzy, fletnie pastusze, uczucie nadziei ożywia serce stęsknione, fletni pastuszej nie odpowiada oczekiwanego echo, odzywa się tylko grzmot daleki. Część IV. Pewien jej utraty truje się młodziemcem, jednak nieświadomy składu trucizny, zasypia tylko snem okropnym. Śni mu się, że jest mordercą swej kochanki, idzie skazany na gilotynę (marsz na rusztowanie), tłumy, temat pierwszy odzywa się smutnie ostatni raz... gdy topór opada. Część V. Wizja, sabbatu czarownicy. Widma, szatany, fury stanowią pogrzeb młodziemca, widzi, stwór swej kochanki, ale w postaci Gergony—z dzikim śmiechem wpleciona w ogniste girlandy kółujących duchów gubi się w wściekłych podrzutach—bije dzwon żałobny, karykatura *Dies irae* chórem się odzywa, taniec sabbatu—połączenie obu motywów i pierwszy temat zapadają w nieskończoność. Jak niegdyś osobę, dziś dzieło Berlioza przyjął Wiedeń z zapalem gwałtownym. Tylko życie jego może być kluczem do jego utworów. Dość powiedzieć, że Niemcy a nie Francja za życia go ocenili. Z nowych jego pamiętników widzimy, że żaden artysta świata takim nie był męczennikiem, żaden nie miał do targania takich więzów Laokonowych, dość z pamiętnika przeczytać wszystkie „szelmstwa“ (sic!) Cherubiego na nim dokonywane w młodości, od których nie był wolny i Halevy splamiwszy tak swoje na zawsze w sztuce arystokratyczne nazwisko. Nie tu miejsce rozwodzenia się nad tem, później podamy wam krótki ale przystępny ustęp z dzieła Berlioza „Soirées d'orchestre“, w którym, co przeszedł, ukrywa pod postacią Celliniego. Życie Berlioza jest gorzka, jak całe morze nauka o świecie i ludziach, świadcząca, że artysta powinien stapać jak św. Małgorzata Rafaela po hydrze zbiorowej, że ideałowi piękności (który tylko prawdy i dobra przeobrażeniem) powinien dogmatycznie wierny a samodzielny pozostać, głuchy na resztę, czy na pochlebstwa czy na szyderstwa, tak jak cielenie ogłuchłszy Beethoven w sobie słyszał i snuł niebieskie harmonie—że powinien jeźli mu się da uczuć w sumieniu niesprawiedliwość, powtarzać stare przysłowie greckie: „Łatwiej dziewięciu mędrców areopagu uznać

dzieło godnem uwielbienia, niż swego uznania godnem uznać je... jeden osioł.“—że choćby nie ujrzał zwycięstwa, w sztuce równie jak w polityce stać należy na orlich szczytach, przekonań niezwalczonych, do których nie dolata żaden jastrząb ani żaden dudek, ani trychina żadnego pseudo-koryfeusza—słowem, jak swego czasu Tycyan, kiedy mu mnisi odesłali do poprawy jego boską Assuntę, nie znajdując jej dość wylizaną a on pod swoim fecit podpisał drugie fecit i obraz odesłał—tak samo jak Mozart (dykteryka Maurycego Hauptmana) który swemu uczniowi Hummlowi, gdy tenże raz o mu się użalał, że w jego wieku już nie robił biernych zadań, odrzekł krótko a węzłowato: „Bo ja się nikogo nie pytałem o pozwolenie... Tych kilka myśli nasunęły nam dzieła Berlioza.

Krytyka tutejsza muzykalna wielką stratę poniosła ze śmiercią sumiennego Dra Hirscha, liryka poety i korespondenta dzienników. Umiał on pochwałą nie zepsuć, nagana nie zniechęcić, a torować drogę młodym talentom. Z publikacji księgarskich godne wspomnienia piękne wydanie „Tryumfu Alex. Wielkiego“ Torswaldsena i pośmiertne dzieło Genellego. Życie jego malarskie podobne życiu Berlioza. Kiedyś pragniemy osobne studium poświęcić temu wielkiemu artyście, ilustratorowi Dantę i Homera, porównaniem go z Flaxmanem, Carstensem i Dorém. Ciekawa równie książka o Sykstyńskiej kaplicy wzbogacona dokumentami i datami muzycznymi. Dalej *Bunte Blätter* Ambrosa, szkice muzyczne i artystyczne w ogóle o Włoszech (Campo santo); ma on tę wielką zasługę, że muzyk specjalista po za muzyką nie jest ciemny jak tabaka w rogu, owszem wszechstronnie pouczający. Wreszcie tom IV głośnego dzieła Carriera: *Die Kunst und die Ideale der Menschheit*. Tom ten dotyka najciekawszych momentów renesansu w Europie; ciekawą byłaby parallela jego z estetyką Fischera, jako książki anti-Heglowskiej i niemniej z pomnikową, może najznakomitszą o renesansie księgą Burkharda. Prelekcje publiczne profesorów uniwersytetu w akademii handlowej poczęły się wykładem prof. Lützowa „o Partenonie“. Prof. Zimmermann przygotowuje podobno głębokie studium niemieckie nad Frydjonem. Zresztą życie skupione umysłów, rak i kapitałów krząta się już około wystawy świata. Cieszkowski, nasz wielki rozmyślać, powiedział, że jak w średnich wiekach duch zdeptał materję, a dziś materja poniósł się na duchu, tak w przyszłości oboje się zrównoważą w zgodnej harmonii—o ileśmy tego bliscy czy dalecy obejrzymy w części na tej wystawie. Wybaczenie, że chcąc być dokładnym, nie mogłem być zwięźlejszym.

Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

LITERATURA I ESTETYKA. Dr. Wład. Skrzydłyka przygotowuje do druku *Zbiór przysłów i przypowieści Andrzeja Max. Fredry*, zestawivszy wszystkie ich edycje (od r. 1658).

— W *Tygodniku Wielk.* rozpoczął się druk pięknego odczytu Wincentego Pola: „O uświłowaniach artystycznych wieku naszego.“
— Paul Albert. *Littérature française des origines au XVI siècle*. Hachette. Paris 1872. Podręcznik dla pragnących rozpocząć głębsze studia nad tym przedmiotem.

PEDAGOGIA. Nakładem Karola Wilda wyszła właśnie z pod prasy, obecnie w szóstym już wydaniu, „*Geografia powszechna*“ Gautiera, na nowo przejrzana i poprawiona z uwzględnieniem najnowszych zmian terytoryalnych przez Eucyana Tutomira. Książka ta w dzisiejszym swym układzie jest może najlepszym podręcznikiem dla szkół średnich, gdyż obok wiadomości wchodzących ściśle w zakres geografii, znajduje tam uczeń sumiennie

zestawione daty statystyczne, wiadomości o formach rządu i konstytucjach a wreszcie potocznie opowiedziane początki kosmografii. Mogłaby więc zastąpić używane dotąd w szkołach podręczniki Bellingera i Markiewicz, które już dawno z rak młodzieży usunięte być powinny, pierwszy dla swej oschłości, drugi dla wielce zaniedbanego języka. Z przyjemnością możemy tu jeszcze donieść, że nakładem tejże księgarni wkrótce wyjdzie „*Geografia dla użytku seminariów nauczycielskich*“, dziełko bardzo pożądane, dotąd bowiem nie posiadamy żadnego, któreby odpowiadało potrzebom szkoły kształcącej przyszłych nauczycieli ludowych.

TEATR. *Repertuarz teatru lwowskiego w przyszłym tygodniu*. Poniedziałek: *Prolog — Słuby panienskie* czyli *Magnetyzm serca* — *Lobzowanie*. Wtorek: *Halka*. Środa: *Otello*. Czwartek, 1-raz: *Nerwowie*; Piątek: *Nerwowie*; Sobota: *Faust*; Niedziela: *Zbójcy*.